

Uliczkę znam w Szanghaju....

'Uliczkę znam w Szanghaju, uliczkę pełną Chińczyków' - chciałabym zaśpiewać parafrazując znany wszystkim Polakom w moim, czyli tak zwanym średnim wieku, utwór 'Uliczkę znam w Barcelonie.....'.

Uliczką tą chadzałam kilka razy dziennie przez dwa lata pobytu na stypendium w Chinach, a było to w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Po czym niedawno odwiedziłam ją ponownie...

Cofnijmy się jednak najpierw do czasu sprzed prawie dwudziestu lat, zanim odkryjemy karty jak wygląda dziś moja dobra, stara ulica - ulica Zimowych Igrzysk, czyli 'Dong tiyuhui lu'.

Kampusy w Chinach mieszczą się albo w bezpośrednim sąsiedztwie szkół i uniwersytetów, albo w niewielkiej od nich odległości. Mój kampus mieścił się o kilka minut drogi rowerem od Uniwersytetu Języków Obcych, na którym studiowałam, w północnej części Szanghaju. Jednego z dwóch, obok Pekinu, największych chińskich miast, liczącego kilkanaście milionów mieszkańców. To tak jakby połowę ludności Polski umieścić w jednym mieście... Szanghaj mieści się na środkowowschodnim wybrzeżu, co ma wpływ na jego klimat - gorące wilgotne lata i nieprzyjemne wietrzne chłodne zimy. Pierwszy raz moją uliczkę zobaczyłam we wrześniu przed wybiciem pierwszego szkolnego dzwonka. Chciałabym tu zaznaczyć, że uliczką nazywam ją wedle chińskich standardów, gdybym mieszkała przy takowej w Polsce, nazywałabym ją ulicą. Paradowała nią młodzież w moro. Jak się okazało to chińscy studenci pierwszego roku uniwersytetu odbywali obowiązkowe dla nich wszystkich szkolenie wojskowe. W połowie ulicy przepływał brudny kanałek. To przy nim umiejscowiło swój stary, prymitywny namiocik i maleńki warsztacik młode małżeństwo z kilkuletnią córką. Wyglądali na bardzo biednych, jak potem zaobserwowałam, namiot i warsztacik zdawał się być ich jedynym dobytkiem. Spali w tym namiocie, jedli, odpoczywali, o zmroku rozpalali przed nim maleńkie ognisko. Czasu, na obowiązkowy wtedy w Chinach poobiedni odpoczynek, mieli mało, bo od piątej rano do zmierzchu uwijali się ze swoją robotą. Polegała ona na wymianie wsadów do kołder biednych chińskich studentów, których nie było stać na nowe kołdry, a stare pod wpływem wilgoci nie nadawały się dalej do użytku - trzeba je więc było co jakiś czas, za drobną opłatą, wymieniać. Z nastaniem chłódów pracowite małżeństwo z córeczką musiało

przenieść się gdzieś indziej, bo nigdy ich już potem nie spotkałam.

Niedługo po rozpoczęciu nauki nastał sezon na chińskie 'youzi', czyli wielkie, żółte, słodkie grapefruity pomelo o bardzo grubej skórce i odtąd przez cały sezon na 'youzi' wędrowni uliczni sprzedawcy, w narękawnikach chroniących ich od brudzenia ubrań, sprzedawali je nam, studentom i innym mieszkańcom naszej ulicy. Kupowałam pomelo w drodze ze szkoły, zaraz po zaopatrzeniu się w chiński zestaw lunchowy, czyli tzw. 'hefan'. To w tłumaczeniu 'ryż w pudełku' sprzedawany w styropianowym pudełku z kilkoma wgłębieniami, do których na ogół wybierałam bakłażan, tofu, jajecznicę z pomidorami i kurczaka z grzybami, do tego oczywiście ryż. Wieczorami przy ulicy ustawiały się chińskie staruszki z tofu i herbacianymi jajkami w kociołkach pachnących sosem sojowym i zieloną chińską herbatą. Kilku mężczyzn w średnim wieku sprzedawało z kolei duże słone naleśniki z sosem sojowym, pomidorem i szczypiorem, przygotowywane na naszych oczach na rozgrzanych blachach. Czasem pojawiał się sprzedawca szaszłyków.

„Chiny to jedzeniowy raj, nikt tu nie wydaje się głodny. Nawet późno w nocy można zjeść przy ulicy coś ciepłego” - pisałam rozentuzjasmowana w listach do rodziców. Ruch jedzeniowy ruszał rano, kiedy to można było kupić gorące, parujące - mantou - nadziewane szpinakiem, fasolą na słodko lub mięsem bułki na parze. Do nich kupowałam pyszny chiński jogurt w zwrotnych glinianych pojemniczkach. Ach, te feerie zapachów 'mojej' ulicy, w godzinach jedzenia, czyli o 5.00-8.00 rano, 11.00-12.00 w południe, 3.00-5.00 po południu i w nocy przyćmiewały nawet stęchliznę kanałku.

Jeśli chodzi o sezony owocowe to po 'youzi', czyli pomelo nastąpił czas 'longyan' - 'oczu smoka', wyglądających z daleka jak wielkie twarde, brązowe winogrona. W następnym roku koło kwietnia pamiętam też sezon na 'caomei', czyli truskawki i mandarynki - 'juzi'. Uliczka wyglądała wtedy jak młoda panna szykująca na bal piękną kolorową suknię. Czasami przy ulicy pojawiali się podobni do swoich sąsiadów Rosjan Ujgurzy, w charakterystycznych kolorowych wyszywanych cekinami czapeczkach, sprzedający ujgurskie rodzyunki - żółtozielone, słodkie, duże i podłużne. Ulicą przepychały się wśród sprzedawców, kupujących i przechodniów taksówki i rowery. Była to końcówka czasów rowerów, jako podstawowego środka lokomocji - z czasem zaczęły je wypierać autobusy i elektryczne motocykle.

Rowery były bezwzględnie stare - tylko niedoświadczony zagraniczny przyjezdny decydował się na kupno nowego - przeważnie tracił go w ciągu kilku dni na rzecz szanghajskich rowerowych złodziejasków i...kupował stary rower.

Raz jeden wywołałam na mojej ulicy sensację. Pojechałam na moim starym rowerze na pocztę, żeby z niej zadzwonić do domu. Rozmowa przeciągnęła się i przy rozliczeniu okazało się, że miałam przy sobie za mało pieniędzy. Próbowałam przekonać panią w okienku, że mogę szybko udać się do akademika po brakujące juany, w zastaw zostawiając mój stary rower gwarantujący powrót. Był on jednak, zdaniem pani, zbyt mało wart, więc postanowiła... wysłać ze mną swojego potężnego, jak na Chińczyka, kolegę. Na takich jak on mówiliśmy w akademiku 'śmiejący się Buddowie' - 'Milefo' - brzuchaci, pogodni, rzucający się w oczy w tłumie drobnych, chudych kolegów. Ze zdumieniem patrzyłam jak 'Milefo' z trudem sadowi się na bagażniku mojego starego roweru, by następnie wieziony przeze mnie beztrako się rozglądać na boki. Był najwyraźniej zadowolony z sensacji jaką wywołujemy na mojej ulicy - biała kobieta, cała w pocie czoła niczym rykszarz wiezie na bagażniku dużego chińskiego mężczyznę!

Kiedy po roku pobytu w Szanghaju wróciłam na wakacje do Polski by potem pojechać do Chin na kolejny rok studiów, moja uliczka zmieniła się o tyle, że w przeciągu dwóch miesięcy mojej nieobecności wyrósł przy niej duży budynek mieszkalny. W Chinach buduje się dużo i szybko, place budowy często pracują też w nocy. Kiedyś nauczycielka powiedziała nam, że dopóki robotnik jest zdrowy i może pracować - na ogół otrzymuje pensję, jeśli natomiast spadnie z bambusowych rusztowań i coś sobie złamie czy nawet zginie - nikt nawet nie zawiadomi o tym rodziny, a o odszkodowaniu czy ubezpieczeniu dla takich biedaków można w Chinach zapomnieć.

Kolejną zmianą był teren kampusu - szare dotąd akademiki zostały w czasie wakacji pomalowane na jaskrawe kolory. Bolała mnie głowa kiedy na nie patrzyłam mając wrażenie, że znajduję się w jakimś przerażającym koszmarze sennym.

Minęło piętnaście lat. W tym czasie byłam wielokrotnie w Chinach, ale nie dane mi było zawitać do Szanghaju. Tym razem nadarzyła się taka okazja, bo polska wycieczka którą pilotowałam, wracała do kraju przez Szanghaj właśnie. Zatrzymaliśmy się w pięknym nowoczesnym hotelu eleganckiej dzielnicy przy Bundzie, jakże różnym miejscu od mojej

dawnej dzielnicy i mojej ulicy. Po kolacji odprowadziłam grupę do hotelu, a sama wskoczyłam do autobusu i udałam się w swoje stare rejony. Zastanawiałam się czy poznam moją uliczkę, tak bardzo mijane autobusem tak znajome kiedyś miejsca zmieniły się przez te wszystkie lata. Tu powstał nowy park, tam szpital, jeszcze gdzie indziej centrum sportowe. Kiedy dotarłam do mojej ulicy, zdziwiłam się, bo na niej wszystko wyglądało jak dawniej. Coś mi jednak nie pasowało. Kiedy podszedł do mnie niziutki zamiejskowy robotnik ciekawy białej twarzy i zapytał co tu robię i czy może mi towarzyszyć w spacerze, zgodziłam się i zapytałam go gdzie są sprzedawcy jedzenia. To ich mi brakowało. Odpowiedział, że odkąd wprowadzono zakaz handlu ulicznego, musieli się wynieść na specjalnie oznakowane bazarki. To dlatego ta ulica jest teraz tak wyludniona.

Poczułam smutek i nostalgię za Chinami, które już nie wrócą i za moją starą dawną ulicą pełną zapachów, smaków i życia...Żegnaj, dawna kochana 'Dong tiyuhui lu'...

Tekst: Agnieszka Putkiewicz

Zdjęcia: Jakub Putkiewicz

Fundacja Edukacji Międzykulturowej

Projekt Nasi rówieśnicy z krajów Południa

www.miedzykulturowa.org.pl



Projekt jest współfinansowany w ramach programu polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w 2013 r.

Utwór jest dostępny na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska.

Utwór wyraża wyłącznie poglądy autora i nie może być utożsamiany z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP.